

Wpisano do kontroli periodyków  
2 Rejonowej Bibliotek Publicznej  
Łódź - Widzew  
Dn. 19. V. 69

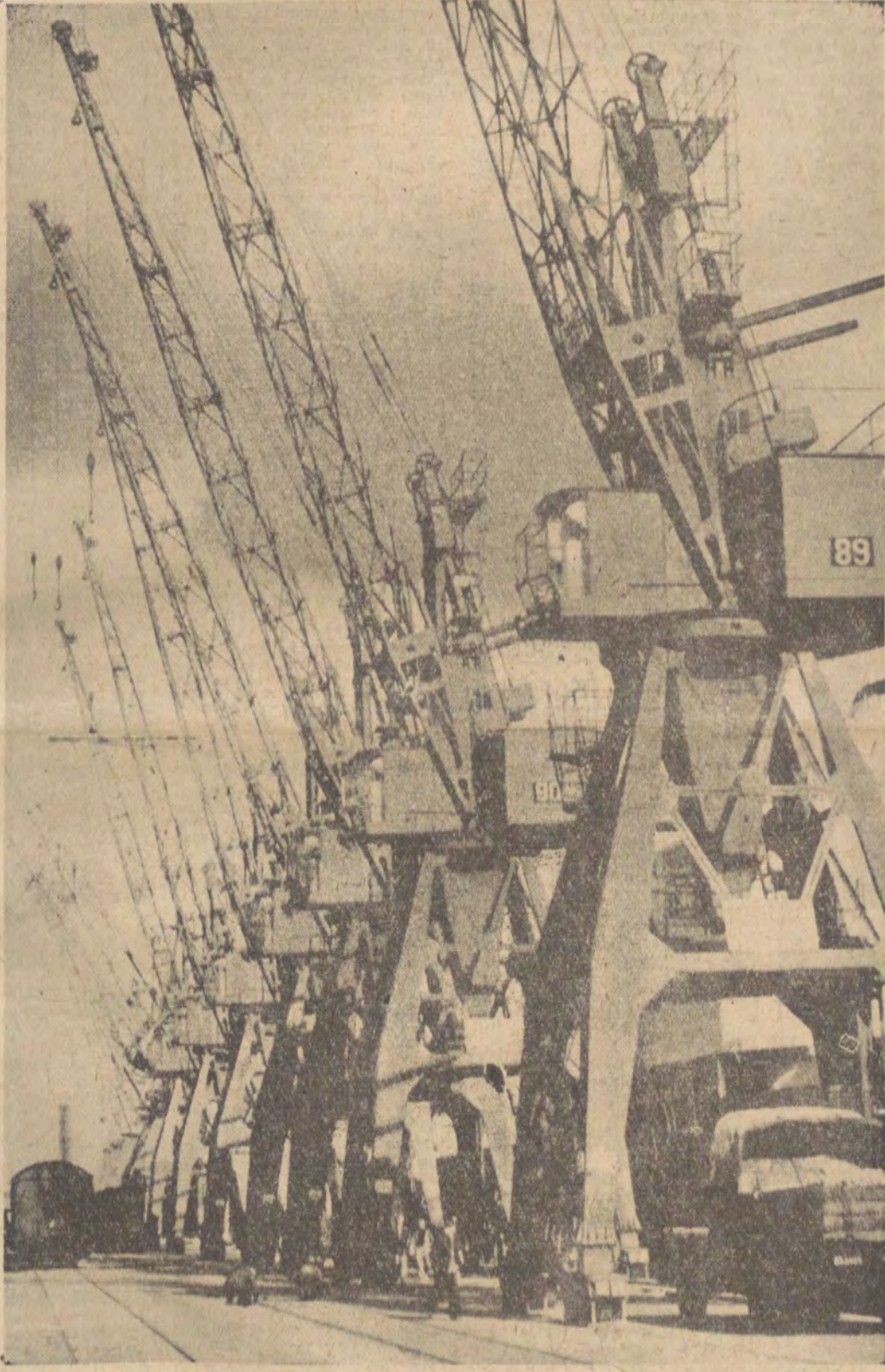
**Dziś w numerze:** **Czterdziesty czwarty** **19-69** **następne** **Rozstrzygnięcie**  
**konkursu na reportaż „Młodzi Polacy lat 60-tych“** **Sily i wymiary**  
**Wiersze** **Felietony** **Recenzje**

# odgłosy



29 (558)  
ZL. VII. 1968 r.  
10 stron  
Cena 1 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI**



**P**ARTIA ZMIERZA DO TEGO, by w coraz szerszej skali zapewniać wpływ szerokich rzesz ludzi pracy na bieg spraw państwowych i społecznych — w sposób konkretny i na różnych szczeblach działalności politycznej, gospodarczej i kulturalnej. Idea ta nie realizuje się sama przez się — jej wcielanie w życie wymaga stosowania w praktyce takich metod rządzenia, które sprzyjają rozwojowi społecznej inicjatywy i pogłębiają poczucie odpowiedzialności obywateli za sprawę kraju.

**W**AŻNYM CZYNNIKIEM demokracji socjalistycznej w praktyce jest systematyczne stawianie pod szeroką dyskusję społeczną programów rozwoju kraju, poszczególnych gałęzi gospodarki, poszczególnych miast, wsi i osiedli. Dyskusja ta nie powinna sprowadzać się do biernego lub mechanicznego zatwierdzania wcześniej przygotowanych projektów, lecz gwarantować współdziałanie społeczeństwa w samym procesie powstawania i tworzenia tych aktów.

**P**ARTIA DAŻYĆ BĘDZIE do podniesienia znaczenia dyskusji i krytyki społecznej, jako ważnego instrumentu demokracji socjalistycznej. Dyskusja i krytyka społeczna powinny mieć na celu, aby wszelkie ważne decyzje dotyczące polityki gospodarczej, społecznej, oświatowej i kulturalnej i przede wszystkim realizacja tych decyzji były poddawane wszechstronnej i możliwie dogłębnej kontroli ludzi pracy bądź w formach bezpośrednich bądź za pośrednictwem wybieralnych organów powołanych przez lud pracujący. Pełna skuteczność takiej kontroli osiągnięta będzie wtedy, gdy będzie ona równocześnie sprawowana ogólnie, tj. przez nadrzędne władze państwowe — i oddolnie, a więc przez określone kolektywy pracownicze i skupiska ludności danego regionu.

**K**RYTYKA SPOŁECZNA jest najbardziej powszechną i dostępną dla obywateli formą kontroli. Im jest ta krytyka bardziej wnikliwa, skuteczna i odpowiedzialna, tym bardziej umacnia ona więź obywatela z władzą i siłę państwa. Sesje rad narodowych, konferencje samorządu robotniczego, samorząd spółdzielczy oraz organizacje partyjne, społeczne i młodzieżowe powinny stwarzać forum dla krytyki społecznej, troszczyć się o jej poziom i skuteczność.

**P**ARTIA NASZA PRZYWIĄZUJE WIELKĄ WAGĘ do podniesienia znaczenia i roli krytyki prasowej. W tym celu z inicjatywy partii wniesiona zostanie pod obrady Sejmu ustawa prasowa, która będzie udzielać właściwych gwarancji krytyce prasowej, zobowiązywać wszystkie instytucje i organa władzy do wyciągania z niej wniosków oraz regulować zasady odpowiedzialności dziennikarzy za słowo. Krytyczna analiza różnych problemów naszego życia powinna być oparta o fakty i znajomość przedmiotu, kierować się troską o dobro ogólne, zmierzać do usuwania zła, i przezwytyczania zastoju, sprzyjać rozwojowi myśli i inicjatywy ludzi pracy. Niezbędna jest stała troska o kulturę krytyki, zwłaszcza gdy wymienia się z imienia ludzi odpowiedzialnych za te czy inne braki i zaniedbania czy błędy. Krytyka powinna pomagać człowiekowi, a nie negować i przekreślać jego dorobek.

**P**OSTĘPOWI I ROZWOJOWI każdej dziedziny życia społecznego sprzyja konfrontacja różnych ocen i stanowisk. W celu pobudzenia rzeczowej i twórczej dyskusji w określonych pismach powinny być stworzone na stałe działy dyskusyjne, redagowane na zasadach „wolnej trybuny” i dopuszczające ścieranie się kontrowersyjnych poglądów. Prawo do dyskusji nie może być wykorzystywane dla głoszenia antysocjalistycznych poglądów i narzucania fałszywych płaszczyzn dyskusji. (z tez Komitetu Centralnego PZPR na V Zjazd partii)

TADEUSZ TELMA

## ZYCIORYS REWOLUCYJONISTKI

W grudniu bieżącego roku mija pięćdziesiąta rocznica powstania Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, która od III Zjazdu, w styczniu 1925 r. nazywa się krótko: Komunistyczna Partia Polski (KPP). Obchody tej rocznicy będą zapewne wyjątkowo poważne i uroczyste. Powinny one mieć na celu przybliżenie do mło-

dziej historii i wysiłków Partii, która przez cały okres międzywojennego dwudziestolecia wtrwale walczyła o obalenie rządów sanacyjnych, a losy i cała przyszłość narodu widziała w zwycięstwie socjalizmu i z bezgranicznym oddaniem o ustroj ten walczyła. Nasza dzisiejsza rzeczywistość jest najlepszym potwierdzeniem nieomyślności owych przewidywań.

W niniejszym artykule chcę przypomnieć drogę życiową jednego z najwybitniejszych przywódców KPP, którego osobowość miała niezaprzeczalny wpływ na większość decyzji partyjnych, zwłaszcza wywarła dodatnie piętno na program teoretyczny partii. Myślę tu o Marii Koszutskiej, używającej również pseudonimów „Wera” i „Kostrzewa”.

Dla nas, Łódzian, osoba „Wery” wiąże się także z jej przynależnością do ziemi łódzkiej, gdzie spędziła młode lata oraz rozpoczęła polityczną i partyjną działalność.

Rodzinną stronę Marii Koszutskiej to wieś Kadzidłowa w powiecie łęczyckim. Tam właśnie w początkach lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku rodzice jej kupili niewielki majątek i przenieśli się do niego wraz z troj-

giem dzieci. Wkrótce Maria została tylko z rodzicami, gdyż rodzeństwo wcześniej zmarło. Matka — Zuzanna Koszutska-Gzowska włożyła wiele starań w gruntowne wychowanie i pierwsze szkolne przygotowanie jedynego córki. Dalszą naukę pobierała Maria w Warszawie, w znakomitej prywatnej szkole, prowadzonej przez Hanrykę Czarnocką. Była osobą niezwykle uzdolnioną, o szerokich zainteresowaniach, wyraźnie wyróżniała się poziomem wśród innych uczennic. Szkole ukończyła z wyróżnieniem. Droga samokształcenia postanowiła przygotować się do zawodu nauczycielki. Miała w tym kierunku zaciebie już od młodych lat. Jeszcze jako kilkunastoletnia uczennica założyła w domu rodziców bibliotekę dla okolicznych mieszkańców, a nawet próbowała z nimi różnych form pracy oświatowej.

Po rocznym przeszkoleniu w paryskiej Sorbonie i uzyskaniu praw do nauczania w szkolnictwie, Maria Koszutska w 1902 r. przenosi się do Łodzi obejmując posadę w swoim zawodzie. O tym okresie w życiu

Dalszy ciąg na str. 4



# Czterdziesty czwarty

## — i następne

1.

Jeszcze dziś, po bez mała ćwierćwieczu, wydaje mi się, iż słyszę, jak dudnią deski pontonowego mostu na Bugu pod nogami naszych maszerujących batalionów. Był lipiec owego roku, wracaliśmy do kraju, w żołnierskich workach wielu z nas niosło jeśli nie marszałkowskie butawy,

to przecież generalskie szlify. Większość szła naprzeciw żołnierskiemu losowi: cierpieniom, kalectwu, śmierci. Wróciliśmy do kraju, którego większość nie znała: w tym wojsku przeważał liczebnie chłop z Wileńszczyzny, z Wołyńią, z Podolem. Chwila była sentymentalna, wzruszenie sznurowało gardło. Byliśmy świadomi, że wybiła tzw. his-

toryczna godzina. Niewielu z nas zdawało sobie sprawę z całej jej doniosłości. Na ulicach Chelma rozplakatowano Manifest, grupki ludzi czytały te obietnice i większość tych nieufnych przechodniów odnosiła się do nich z niedowierzaniem. Manifest obiecywał ziemię chłopom, pracę robotnikom, naukę młodzieży. Narodowi — historyczne granice na zachodzie. Wszystko to wówczas brzmiało aż niewiarygodnie. Ulicami maszerowały kolumny zmęczonej, rozradowanej piechoty: ci żołnierze jeszcze nie zdawali sobie w pełni sprawy z tego, że są armia największej polskiej rewolucji.

2.

22 lipca w Chełmie Lubelskim. Oto relacja Zbigniewa Żałuskiego, zaczerpnięta z jego książki — „Czterdziesty czwarty”.

Pierwszy samochód polski — czterech oficerów z Zarządu Polityczno-Wychowawczego Armii — wjechał do Chelma. Tu okazało się, że ciągle najważniejsza jest wojna: osłania jąca Chelm grupka radzieckiej piechoty z jednym czołgiem i z dwoma działami odpierała pod miastem wściekle ataki przebijających się na zachód hitlerowskich niedobitków. Ppik Jan Taddykin, dowódca pułku polskich myśliwców oraz kpt. Medard Konieczny, debiniak i uczestnik Września, pilot z radzieckiej jakki, eskortowali trzy duglasy, ciągnące z Równego, na Chelm. Wezwano I brygadę kawalerii, która była najbliższą. Spieszono szwadrony ze śpiewem wkraczały do miasta. Wkrótce na połowym lotnisku ciężko sładaly duglasy wozace członków PKWN. Wywiadali: Edward Osóbka-Morawski, Bolesław Drobner, Stanisław Skrzyszewski i inni — już tu, na ziemi własnej i wolnej. Inni współtwórcy nowego rozdziału pozostali jeszcze na ziemi bratniej, gdzie zatrzymał ich nowy obowiązek. W Moskwie, przez którą przeszła z wielką polityką, ze światem — Wanda Wasilewska i Stefan Jędrzejowski. Gdzieś w marszu koło Lublina wraz z pierwszymi bojowymi rzutami armii „wojska PKWN” — gen. Zygmunt Berling, gen. Aleksander Zawadzki, płk Edward Ochab. W Trojanowie pod Zytomierzem, gdzie rodzi się drugi rzut sily zbrojnej, gen. Michał Rola-Zymlerski, płk „Turski” — Marian Spychalski. I wreszcie tam, na zachodzie, gdzie czeka na wyzwolenie kraj — ci, dla których pod Manifestem zostawio no pięć miejsc pustych, bez nazwisk: Władysław Gomułka, Bolesław Bierut i inni, w oku powanej jeszcze Warszawie, kończą ostatnie podziemne prace KC PPR i Prezydium KRN. Tymczasem w Chełmie dowódca brygady kawalerii, płk Radziłowicz, wprowadza na trybunę niewysokiego szarego człowieka. Ten, pełen zakłopotania, bezradnym jakby gestem, zdął kapeluszy i setki ludzi na placu obnażyły głowy. Człowiek na trybunie drżącym z przejęcia głosem zaczął czytać z trzymanej w ręku kartki...

Był to członek PKWN, Andrzej Witos, brat tylko tamtego, sławnego Wincentego, „wojta wierzchosławickiego”, trzykrotnego premiera, przywódce wielkiego stronnictwa. A teraz ten nieznanym Andrzej Witos, wiceprzewodniczący PKWN, stawał się w jakiś sposób wielki, gdy na pierwszym wiecu ludności w pierwszym mieście ogłoszany program, na którego realizację nigdy nie zdobył się tamten — jego wielki kraj. Stawał się wielki

wielkością chwili, wielkością woli narodu, zawartej w słowach, których nigdy nie wypowiedział tamten. W słowach Manifestu Lipcowego.



Wielkością chwili, wielkością woli narodu, zawartej w słowach, których nigdy nie wypowiedział tamten. W słowach Manifestu Lipcowego.

3.

Wyzwolenie na Ziemi Lubelskiej nie stało się ogólnonarodowym idylia. Polska rewolucja działała się przeciw klasom posiadającym, i nie z winy własnej — często przeciw wspierającej te klasy warstwie tzw. „oświeconej”. Wszędzie gdzie wkroczył polski żołnierz maszerujący ze Wschodu, witały go kwiaty — ale i obelgi. Od pierwszych chwil wolności rozgrywał się dramat, za który naród miał zapłacić jakże gorzką cenę: znaczny odłam polskiej inteligencji odwracał się plecami do Rewolucji, podejmował jądowy monolog polityczny Hamleta, ta postać „szłałował na długo świadomość części naszego narodu. Obok poczynał rząd londyński, własnie i te kabotyńska postawa należały winić za hekatombę bezsensownych ofiar przyszłej wojny domowej lat 45-47. Melodramatyczne gesty zgranych polityków, brak poczucia odpowiedzialności szeregowych rzesz inteligencji za państwo, za los narodu, stare, tradycyjne, atawistyczne antypatie polityczne starszego pokolenia zacięły — co za gorzki polski paradoks! — przede wszystkim na losie młodych.

W ćwierć wieku później Wł. Gomułka tak określił to polskie, tragiczne zjawisko:

„Zalóżmy, że u zarania Polskiej Ludowej w 1944 r. istniałby inny układ sil klasowych w skali międzynarodowej i w skali wewnętrznej i do władzy przyszlaby ekipa londyńska, która w kraju miała wielką przewagę nad nami, miała wielki anerał dysponujący kadrami i środkami materialnymi. Młwimy byli znani na własne skromne sily, a obóz londyński miał do dyspozycji miliony dolarów.

Cóż byloby wówczas z Polską? Czym bylibyśmy? To nie jest tylko akademickie pytanie. Nasz kraj byłby wówczas bez Ziemi Zachodnich i bez Ziemi Wschodnich, byłby jakimś Księstwem Warszawskim, byłby niczym.

Dlaczego w umysłach naszej inteligencji wówczas nie zrodziła się w skali masowej inna idea, idea przezwyciężenia się polityce obozu londyńskiego, która chciała restaurować

Polskę burżuazyjną. Ówczesna postawa akceptacji, a w najlepszym razie neutralności wobec tej beznadziejnej idei — ciąży w jakimś sensie na postawie wielu ludzi do dziś.

Bylibyśmy w głębokim błędzie, gdybyśmy uważali, że problem zniknął, że został ostatecznie rozwiązany. Dał on znać o sobie również w wypadkach marcowych. Okazało się, że cała ta przeszłość historyczna wciąż ciąży na postawie pewnych grup inteligencji, przede wszystkim — humanistycznej, że tkwi w ich podświadomości, jeśli już nie w świadomości i przeszkadza im w zajmowaniu słusznego stanowiska.

Otoż to jest jedno z istotnych źródeł naszych słabości na froncie ideologicznym.

4.

Partyzanci — żołnierze Armii Ludowej wchodzili do Lublina w kolumnach nienawykłych do defiladowego kroku, i tu natychmiast wtapiali się w żołnierski tłum. Wchłaniało ich Odrodzone Wojsko, głośnie kadry dowódczej. Legenda mówi, że łatwo było wówczas o gwiazdki. Istotnie — łatwo było o szlify, za które płacić wypadało najczęściej własną krew. Ogromna większość do wódców tej armii płaciła tę cenę. Wśród nich w pierwszych rzutach ataku na hitlerowskie okopy — ginęli polscy komuniści. Ci, którzy walczyli w kraju, i ci, którzy wrócili z wygnania. Linią podziału nie było.

5.

Od schyłku lipca 1944 roku zaczyna się — jak sądzę — Polska Historia Współczesna. Przed tą datą mieści się Przeszłość, choć chronologicznie nie odległa, lecz przecież archaiczna. Widziałem wołyńskie manewry kawaleryjskie roku 38, zwane wówczas „demonstracją sily”. Jakże piękne przemarsze ułańskich pułków, szarżę, błyski setek szabel i

tysięcy lanc — wszystko to bliższe było przecież wojnom napoleońskim niż temu, co na stapilo ledwie rok później. Podobnie miała się — niestety — rzecz i z umysłowością wielu Polaków. Bylibyśmy narodem nienowoczesnym. Forpoczta tej nowoczesności stały się — o polski paradoks — pułki artylerii, broni pancernej, lotnictwa, które przyniosły do kraju latem roku 1944 przedsmak rewolucji technicznej, mimo iż w żołnierskich szeregach nie brak było wówczas analfabetów. Bowiem w całym naszym społeczeństwie latem roku 1944 szczył się analfabetyzm, jego najgroźniejszą postacią to był analfabetyzm polityczny: dzięki niemu klasy posiadające zyskiwały niekiedy wpływy wśród grup społecznych, które często godziły się na wręcz tragiczny los w imię obcych interesów: formalnie szedł do bandy, od której kul ginęli ludzie realizujący Reformę Rolną. Nie brakło w podziemiu i robotników COP-u.

6.

Czy istniała szansa pełnej jedności Narodu w owym pamiętnym roku 1944? Jesteśmy dziś, po upływie ćwierćwieku, mądrzejsi o wiele doświadczeni historią. Wiemy: szansa takiej nie było, przejęcie władzy z rąk klas posiadających nie mogło się obyć bez dramatów i tragedii Rewolucji. Czy istniała szansa ograniczenia strat, i tak wymęczonego okupacją Narodu? Tu odpowiedź jest trudniejsza, wydaje się, iż tragiczne skutki polityki ślepych, reakcyjnych przywódców polskiej pracy mnożyły pomyłki całych naszych grup społecznych — a także zbyt może często stosowano zasadę, iż nie żal róż, gdy lasy płoną. Ale taką cenę płaci każda Rewolucja. Myśmymy ja też za płacili, chodzilo przecież o przyszłość Narodu.

## ROZSTRZYGNĘCIE KONKURSU

### na reportaż

### „Młodzi Polacy lat 60-tych”

10 lipca nastąpiło rozstrzygnięcie otwartego konkursu na reportaż pod hasłem „MŁODZI POLACY LAT 60-TYCH, ogłoszonego przez redakcję „Ogłosów” dnia 10 marca br.

Po analizie i dyskusji oceniającej zarówno stronę merytoryczną jak i formalną nadesłanych prac, jury w składzie:

Wacław Biliński (przewodniczący) redaktor naczelny „Ogłosów”

Wojciech Drygas, przewodniczący łódzkiego oddziału Stow. Dziennikarzy Polskich

Jan Huszcza, literat

Sergiusz Kłaczek, redaktor naczelny „Głosu Robotniczego”, przewodniczący Tow. Przyjaciół Łodzi

Jan Koprowski, kierownik działu kulturalnego „Ogłosów” — postanowilo: nie przydzielać I nagrody.

II nagrodę w wysokości 4.000 zł przyznać IRENIĘ DRYLL za pracę „Młodzi i młodzi” (godło AKNJ),

III nagrodę w wysokości 2.000 zł przyznać FELIKSOWI BABOŁOWI za pracę „Sekretarz” (godło MONITOR 21),

Trzy wyróżnienia po 1.000 zł otrzymali:

LUCJUSZ WŁODKOWSKI za pracę „Zwykłe życie” (godło MIKA),

MIROSLAW MIESZCZANKOWSKI za pracę „Gondole na bajorze” (godło RESZKA),

BOGUMIŁA MADEJ za pracę „Portret Marii” (godło AB—SALOM),

Nagrodę specjalną w wysokości 1.500 zł ufundowaną przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi otrzymał EUGENIUSZ IWANICKI za pracę „O miejsce na ziemi” (godło „33”).

Uroczyste wręczenie nagród odbyło się 18 bm. w lokalu redakcji.





# BOJ DEWIN SKI

(FRAGMENTY)

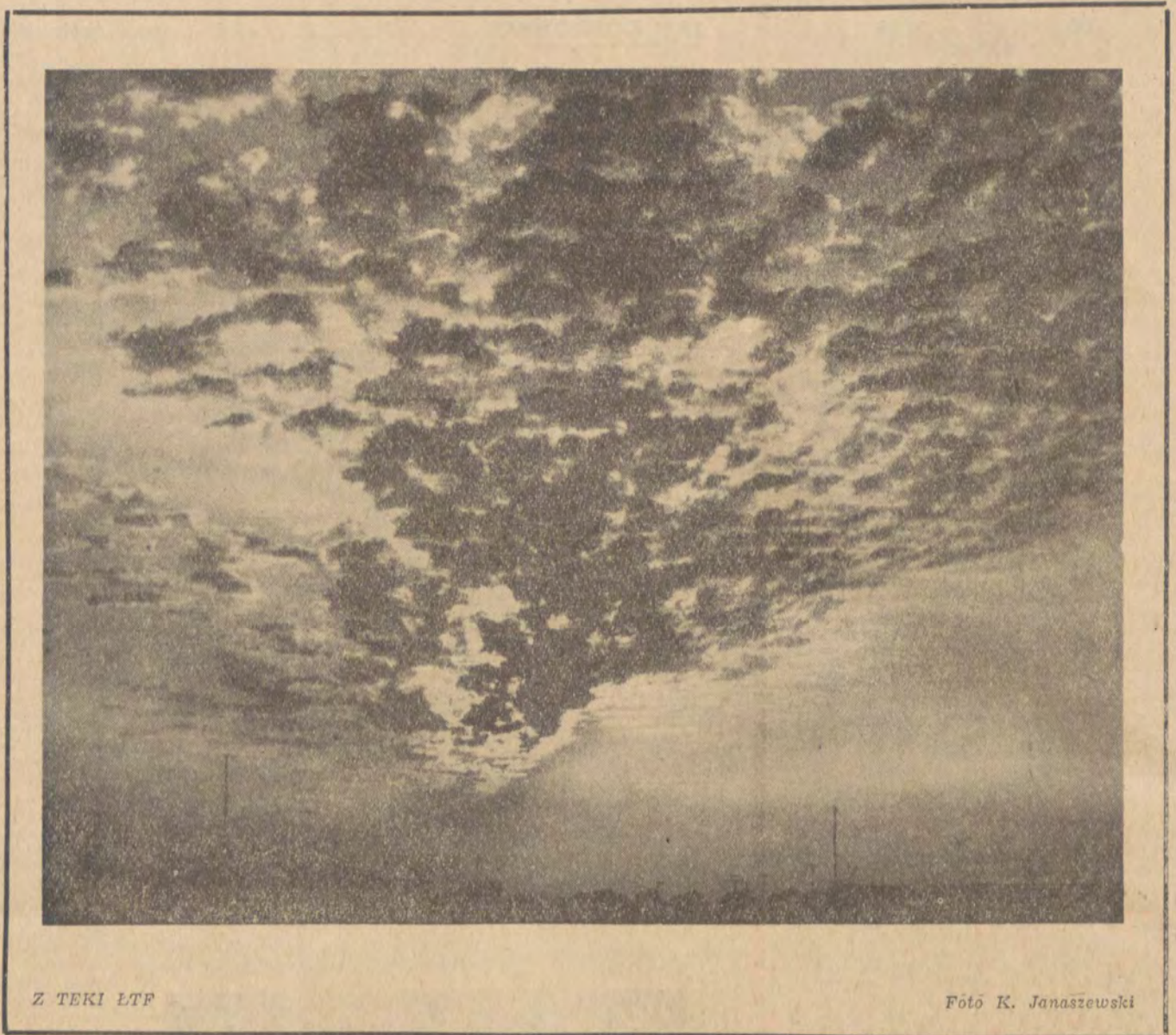
A środkiem dwujęzycznej  
w wieczystych kwaterach,  
gdzie brzask z mgłą,  
widlak z rosą  
i wiatr gada z nurkiem —  
duktem Miłyńskim naciera,  
Sekurskim naciera,  
Redzińskim naciera —  
zyczak piórkiem,  
zebra z kosa —  
Smierć  
z karty Grottigera.

II.

Ty, co z Gidel stoczkiem woskowym przyświecasz,  
Ty, który wszystko ważysz, a zowiesz się — Los,  
O której nie czytali, a imię Twe — Nike  
i w styczniu tu błędziłaś z przestrelonym skrzydłem,  
Ty, co szkolna masz nazwę, Bojów Gramatyko,  
I Wy, imperatywy woli:  
wściekle Męstwo  
i niemylna Rozwago,  
i Refleksie bystry,  
I muszki ze szeszerbina złota równowago,  
której na imię — Traf —  
wiesziesz pociski...  
i wszystkie — nie lzy, lecz siły Heraklitowe,  
i Ty, Silo Najwyższa,  
co w sercach gorejesz,  
a jesteś odmienionym kole-dziejem,  
szkarłatna, złotopszczola  
córa ziemi i potu,  
i armat, i róż  
i z arki potrzaskanej słowa —  
Niepospolita —  
Najpospolitsza  
Rzeczy Ludowa  
— w godzinie zero  
bądźcie w nich,  
ustokrotnicie ich!

III.

— Towarzyszu podchorąży, nie trzeba patrzeć na fotkę.  
Oslabi.  
Macie już siedemnaście lat, opuście dłoń z czoła.  
— W żniwa zbierałem smutki nad ostrą rzeką Grabia...  
Poszły w szkołę na dworskie...  
— W dworze będzie szkoła.  
— I tu będzie tak pięknie, jak mówił towarzysz  
kapitan?  
— Jeszcze piękniej... Już wkrótce. Za wzburzoną rzeką  
Spieszą wojska w czerwienu... Wiesz, syn ci poczyta  
W języku kutym z miedzi, co zowie się greką...  
Ów wiersz: „Męża wyspiewaj” — Grek o tobie składał...



Z TEKI LTF

Foto K. Janaszewski

Jest taka chwila ciszy, gdy powietrze gada  
Między konczą a dzwonkiem, rzęsa i igliwim;  
Gardłem kosa poruszy, w łótkach pliszki gwizdzie,  
Stuk-dzieciola na szklana topolę podźwignie...  
Tylko uszu nadstawiać — i uszy mieć — żywe...

Są cudne dary cienia, Liść wysrebrza cienie,  
Siedmiorgu barwom tęczy cień odsprzeda barwę.  
W cieniu usta dziewczęce kwitną najczarownie...  
Tylko wargi im przychył — wargi nie umarle...

• • • • •  
Jest wielkie Nie-słuchane i Nie-dopatrzone,  
Nie-przeżyte, płochliwą wargą Nie-zmierzone —  
Nie-przepragniona Cisza, którą Huk odcina  
Od uszu i sprowadza Ciszę,

której nie ma.

IV.

Jeszcze chwilę wytrzymać, chłopcy.  
Do tych czolgów strzelać nie trzeba.  
Mina czai się pod jalołwem...  
Czolg jada prosto do nieba.

V.

Jeszcze chwilę wytrzymać, chłopcy.  
Na sto metrów podejść — dopiero  
Szyledem salwy do ziemi wszyć obecj  
I pogrzebać ich na dnie zlej pieśni...

Jedenasta minut trzydzieści —  
godzina zero.

Pall

Za Dzień Chwały bez krwi i za tęczę,  
Co opasze obeschły z łez świat,  
Za dziewczynę w kraciastej sukience,  
Za twych gorzkich osiemnaście lat —

Pall

A gdy ognia już w lufach nie stanie,  
Las rozlamie się w węgiel i chmurę,  
To powietrze obrawszy za szaniec  
Na bagnety ruń!

Losiem, wilczurem!

## Półka z książkami

### Na barykadach Warszawy

Pamiętnik Stanisława Komornickiego jest jedną z wielu książek o Powstaniu Warszawskim, ale też jest to książka zajmująca w dziedzinie tych publikacji miejsce zaszczytne. Choć nie ma ona ambicji wielkiej syntezy jak publikacje Kliszki, Kirchmayera czy choćby Bartelskiego — przemawia natomiast drobnymi faktami z życia powstańczej stolicy, przemawia atmosferą, nienaganna formą literacką. To po prostu dobra, żywa, porównawcza proza. Pamiętnik podchorążego Nałęcza jest właściwie kroniką drugiego plutonu 104 kompanii staromiejskiego zgrupowania AK, jest kroniką bohatera skiego zrywu młodych chłopców — piaskarzy, hydraulików, stolarzy i zwykłych uczniów. Jest właściwie kroniką powstania, pisana nie przez sztabowca, historyka czy polityka, ale przez chłopca, który wielu rzeczy wówczas nie rozumiał, ale które mu — jak większości jego rówieśników z powstania — szło o Polskę. Nie o losy rzą-

du w Polsce, ale o losy Narodu.  
W książce Komornickiego mamy obraz powstańczej Warszawy, prawdziwy, nie retuszowany obraz tamtych dni. Mamy fakty, setki faktów, autentycznych zdarzeń, gestów — urastających do symbolu, zastępujących oświadczenia i polityczne deklaracje jakich Komornicki nie składa, bo wymowa suchego faktu ważniejsza i bardziej przekonująca jest od deklaracji.

Oto dwu powstańców w oddziale 9 p.p. Pierwszej Armii na praskim brzegu. Wracają jako przewodnicy przeprawy do pionącego miasta, nie mają broni. Dowódca pułku „przywołał sierżanta i zapytał: Nie ma tam u was jakich pepeszy? Dajcie chłopcom, ja potem podpiszę. Rozeszły się nam oczy.”

Drobnym faktem, a przecież urasta do symbolu. A takich symbolicznych scen jest w książce mnóstwo — i one to właśnie przydają temu osobistemu pamiętnikowi waleńców uogólnienia.

WIL

Stanisław Komornicki „Na barykadach Warszawy”. Wyd. MON, 1968, cena zł 27.

### Europa w światłach rampy

Książka Henryka Voglera obejmuje szkice z podróży do wielu stolic europejskich m.in. do Wiednia, Pragi, Moskwy, Londynu, Paryża, Sztokholmu i Bukaresztu. Mimo tytułu, który sugeruje, że autor zajmuje się w swoich podróżach wyłącznie sprawami teatralnymi — tak nie jest. Życie teatralne stanowi tylko jeden z elementów tej książki, której celem są szersze. Vogler wykorzystuje każdą sytuację, aby pokazać życie ulicy, obyczaj, a także udać się w dywagacje historyczne, jeśli temu sprzyja okazja. Nie brak w jego książce również refleksji natury ogólniejszej, które wyzwała obserwacja, zjawisko artystyczne czy nawet przypadkowa rozmowa z przechodniem. Autor recenzji ze szczególnym zainteresowaniem czytał szkice Voglera, odnoszące się do Wiednia i teatrów zachodniemiejskich w Monachium, Kolonii oraz w Berlinie zachodnim, Wiedeń

posiada, ogólnie rzecz biorąc, teatr bardziej konserwatywny, ostrożny w stosunku do awangardowych nowinek, natomiast teatry zachodniemiejskie dość żywo reagują na tzw. dramat awangardowy. Ale i tu i tam, a zwłaszcza w Wiedniu, szczególnie w Burgteatrze, mają znakomite aktorów, których rzemiosło i umiejętności godne są nie tylko zazdrości i podziwu, ale — być może — i naśladowania.

W części ostatniej swej książki Vogler pisze również o teatrach polskich, ale na tle występów gościnnych obcych teatrów w naszym kraju, a więc o występach Wach tangowa, Comedie Francaise, Jean-Louis Barraulta, Burgteatru, Brooka i Oliviera, a wreszcie fenomenalnego teatru włoskiego Piccolo.

W sumie jest to książka żywa i ciekawa, przynosi sporo interesujących wiadomości i spostrzeżeń, a także i rzetelną wiedzę porównawczą, choć to tylko szkice z podróży, a więc rzeczy, mimo wszystko, ulotne.

JK.

Henryk Vogler: „Europa w światłach rampy”. Wyd. Literackie, 1968.

### Śniadanie ludożercy

Krzysztof Teodor Toeplitz, piszący od lat felietony na ostatniej stronie „Kultury”, wydał obecnie w książce ich kolejny wybór pt. „Śniadanie ludożercy.” Obejmują one prace z lat 1963—1966 z cyklu felietonowego pn. „Kuchnia polska”. Często przy wyborach felietonów budzi się pytanie o zasadność książkowego wydawania ich z uwagi na aktualny, okolicznościowy i okazjonalny charakter, który świetnie się czuje w gazecie, ale nie zawsze wytrzymuje próbę książkową. Otóż trzeba wyraźnie powiedzieć, że felietony KTT (Krzysztofa Teodora Toeplitza) czyta się w wydaniu książkowym z nie mniejszym zainteresowaniem, niż wtedy, gdy ukazywały się one na łamach tygodnika „Kultura”.

Sfera zainteresowań Toeplitza jest szeroka, ale określona wyraźnie. Głównie i przede wszystkim, choć nie wyłącznie, zajmują go problemy kultury, literatury i filmu na tle życia społecznego, w kontekście nowych stosunków obyczajowych i dążeń artys-

tycznych. Zastanawiałem się nad tym, co decyduje o powodzeniu tych felietonów, dlaczego lektura „Kultury” zaczyna się często właśnie od czytania „Kuchni polskiej” Toeplitza. Wydaje mi się, że piarstwo Toeplitza cechuje inteligencja, poczucie humoru i zdrowy rozsądek. Są to cno ty, nie zawsze chodzące razem ze sobą. Krzysztof Teodor Toeplitz umie spojrzeć na zjawiska sztuki nowoczesnej z pozycji życzliwego przyjaciela, ale nie fanatyka. Stąd umiar i rozsądek, pochwała, ale i przygana, gdy sztuka ta wkracza na tereny dla siebie niebezpieczne.

Dobra polszczyzna, brak erudycyjnego nachalstwa a jednocześnie widoczna kompetencja czynią z nowego wboru felietonów i artykułów Toeplitza lekturę wartościową i przyjemną.

JK.

Krzysztof Teodor Toeplitz: „Śniadanie ludożercy”. Książka i Wiedza, 1968.







# HEMINGWAY w czasie drugiej wojny światowej

W 6 numerze „Inostrannoj Literaturny” zostały po raz pierwszy w języku rosyjskim opublikowane 4 reportaże wojenne Hemingwaya, przeznaczone dla czasopisma „Collier's Weekly”, którego pisarz był korespondentem w czasie drugiej wojny światowej, po inwazji na Francję. Z tej okazji B. Gribanow omawia (w tym samym numerze) szczegółowo wojenne losy Hemingwaya. Warto przypomnieć tę część biografii pisarza, zresztą stosunkowo mało u nas znaną.

Kiedy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, Hemingway mieszkał na Kubie, gdzie w luksusowej willi pracował nad nową powieścią, która miała być „o morzu, powietrzu i ładzie”. Ale nagle piśmiar przestał. Pochłonęła go inna sprawa, dużo ważniejsza niż pisanie. U brzegów Kuby krążyły niemieckie łodzie podwodne, które niszczyły okręty sojuszników. Hemingway postanowił przerobić swój rybacki jacht „Pilar” na statek wojenny. Zainstalował na nim aparaturę radiową, zaopatrzył go w karabin maszynowy i bomby głębinowe. Z załogą, składającą się z 9 osób, pływał na jachcie „Pilar” przez dwa lata (1942-1943). Czekal na spotkanie. Niemieckie łodzie podwodne miały zwyczaj zatrzymywać kubańskie statki rybackie i zabierać żywność. Hemingway liczył na to, że jego jacht zostanie w ten sposób zatrzymany i będzie mógł wtedy wykorzystać swój karabin maszynowy i swoje bomby. Zdarzył się jednak coś innego. Podczas spotkania nie udało się zakończyć biografii członków załogi „Pilar”. Na szczęście dla literatury do takiego spotkania nie doszło.

Alle Hemingway postanowił zmienić teren walki. Pojechał do Anglii jako korespondent wojenny pisma „Collier's Weekly”. Wkrótce jednak poprosił o przydział do angielskich sił powietrznych. Z tego czasu pochodzi jego reportaż „Londyn walczy z robotami”. W kabinie angielskiego bombardera zachowała się podobno fotografia Hemingwaya.

Krótko przed wylądowaniem wojsk sojuszników w Normandii Hemingway miał wypadek samochodowy w Londynie i był ciężko ranny w głowę.

Mimo to razem z innymi wyruszył do Normandii. Wówczas napisał reportaż „Rejs do zwycięstwa”. Swoje obowiązki korespondenta uważał jednak Hemingway za sprawę drugoplanową. W ciągu 11 miesięcy posłał do redakcji tylko kilkanaście szkiców. Pisał tyle, ile było trzeba, żeby go redakcja nie odwołała. Za główne swoje zadanie uważał udział w wojnie. Nie

chciał zostać przy sztabie. Sam się przydzielił do 4 dywizji piechoty pod dowództwem gen. Barton. I to jednak nie zaspokoilo jego pragnienia walki. Wyprzedził dywizję — jego jeep zjawiał się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Hemingway nawiązywał kontakty z francuskimi partyzantami, badał teren, zbierał informacje potrzebne do operacji wojskowych.

Niedaleko Paryża dywizja znalazła się w trudnym położeniu — została otoczona przez Niemców. W tej sytuacji gen. Barton oznajmił swojemu sztabowi: „Oficer E. Hemingway znajduje się 60 mil przed nami, wyprzedzając całą 1 armię. Przysyła nam stamtąd informacje. Jak myślicie, co nam przekazać? On zawiadamia, że jeśli trzeba tam wytrzymać, to będą mu potrzebne czołgi”.

Dalszy ciąg epopei toczył się w Rambouillet, gdzie Hemingway walczył jako dowódca zorganizowanego przez siebie oddziału, składającego się z francuskich partyzantów. Prócz tego, podczas pobytu w Rambouillet, zwiadowcy wysyłani przez Hemingwaya zbierali informacje, dotyczące obrony Paryża przed Niemcami, które miały podobno dużą wartość dla sztabu.

Podczas gdy dywizja atakowała Paryż, Hemingway ze swoim oddziałem, składającym się już z 200 francuskich partyzantów, bocznymi drogami dostał się do Paryża.

Sylvia Beach, dobra znajoma Hemingwaya z jego lat paryskich, opowiada w swoich wspomnieniach, że kiedy podobnie jak inni ukrywała się w domu przed Niemcami, leżącymi na dachach i strzelającymi do ludności cywilnej, usłyszała nagle znajomy głos Hemingwaya, wołającego: „Sylvia, Sylvia”. Natychmiast po zdobyciu przez siebie Paryża Hemingway pośpieszył jej na pomoc.

Wieczorem tego dnia do Paryża przyjechała korespondenci zagraniczni. Jeden z nich poznał w żołnierzu, który pilnował wejścia do hotelu „Ritz”, szofera Hemingwaya, o którym pisarz wspomina w swoich reportażach. Szofer ten krótko powiedział:

„Papa zdobył dobry hotel. Dużo wszyskiego w piwnicach. Idźcie szybko na górę”.

Zdobycie hotelu „Ritz” (jak wiecie nie się) bardzo się Hemingwayowi opłaciło



Foto: Kadar Katalin

— znalazł tam dużo napojów alkoholowych i to w dobrym gatunku.

Hemingway walczył ze swoją dywizją do końca. Większość żołnierzy i oficerów nie wiedziała, że jest on pisarzem. Mówili: to wielki człowiek. Nie, nie wiemy, kim jest i co robi, ale to wielki człowiek.

W związku z wojennymi czynami Hemingwaya dowództwo miało następujący problem: czy ukarać go za naruszenie przepisów Konwencji Genewskiej, zabraniających korespondentom udziału w walkach z bronią w ręku, czy też może nagrodzić za odwagę. Po długim śledztwie pisarz został uwolniony od zarzutu, a następnie otrzymał odznaczenie.

\* \* \*

Straceńcza odwaga, czy chęć okazania się bohaterem, żywiołowa fantazja czy chęć okazania się niezwykłym, pragnienie śmierci czy walka o życie? — można zapytać po prześledzeniu losów wojennych Hemingwaya. Pcha się wszędzie do pierwszych szeregów — na wodzie, łądzie i w powietrzu. Nie chce być pisarzem,

ledwo raczy być korespondentem wojennym. Co chciał właściwie od tej wojny E. Hemingway, ulubiony bohater E. Hemingwaya? Spróbujmy jako jedną z możliwych odpowiedzi na to pytanie zacytować słowa samego Hemingwaya, przytoczone przez Gribanowa w jego szkicu: „Rzecz polega na tym, że ta ostatnia wojna miała sens, podczas gdy pierwsza nie miała dla mnie żadnego sensu”. Więc może kiedy zobaczył antywartości, reprezentowane przez faszyzm (widział go wprawdzie wcześniej, w innym wydaniu, w Hiszpanii, ale zapewne nie widział tak ostro) dostrzegł i wartości. Nie myślał wtedy o swojej twórczości. Ale jeden z pisarzy powiedział, że aby być pisarzem trzeba mieć swój własny los i taki właśnie los tworzył sobie Hemingway z jachtu „Pilar”, z angielskich bombardierów i swoich szalonych przedsięwzięć. Może chciał się wyrwać z kręgu zakreślonego nazwą „stracone pokolenie”?

I właśnie po tej wojnie napisał swoją najlepszą książkę „Starego człowieka i morze”. Książkę o walce, która ma sens.

Opr. E. W.

## Notatnik KULTURALNY

### PONIEDZIAŁEK

W Salonie Sztuki Współczesnej zaprezentowano nam malarstwo niewspółczesne. Ale urokliwa to niewspółczesność, kojąca spokojem pejzaży Normandii pod bładobłękitnym niebem, zielenia polskiego krajobrazu... Wiosenne jabłonie i wierzby nad stawem, domki przycupnięte wśród drzew... Obrazy Józefa Wana ta są rodem ze starej, dobrej szkoły. Nie chcą być posadzo nym o sentymentalizm, ale dla mnie są to pejzaże z kolorowych snów. Tak właśnie odbieram te obrazy, które, choć w gruncie rzeczy realistyczne, to jednak artysta odrealnił je na tyle, aby dały wpaść w sen. Osnuwa je jakaś wzruszająca mgiełka — emanuje z nich spokój i wszystko jest tu jak w „Wysokich drzewach” Staffa; „Zapach wody, zielony w cieniu, złoty w słońcu, w bezwietrzu

sennym ledwo mieszają się, kołysze...”

### WTOREK

Pisałem już, że zrodziła się w Łodzi koncepcja Teatru Letniego. Jest to na pewno koncepcja interesująca, prowadząca do większej teatralnej aktywności łodzian. Aktualnie nawet na „Szelmostwa Skapena” widownia zapelnia się w jednej trzeciej. Ale czy rzecz tylko w kanikule? Użyję porównania z dziedziną gastronomii. Na coś się zda piękny, letni kawalon restauracyjny, jeśli kucharze w nim nietędy. Może więc, rozważając sprawy popularyzacji teatru, frekwencji itp., warto także za jedynym zamachem pomyśleć także o... kuchni?

### ŚRODA

Kompaniaaaa! Baczości! Cwierć wieku Ludowego Woj-

ska Polskiego dobrze uczymy stosownymi publikacjami, artykułami prasowymi, audycjami, ale popularność roczniccy na pewno zrobią ciekawe koncerty dobrych zespołów. A wojsko takie zespoły ma, o czym tożdzianie mogą się przekonać każdego lata, goszcząc w Pałacu Sportowym Estradę Śląskiego Okręgu Wojskowego. I tym razem włókniarze zaprosili żołnierzy-artystów na występy w halach fabrycznych, w hali na Włdzwie i w Pałacu Sportowym. „Poborowe piosenki” — część z nich znany z transmisji festiwalowej w Opolu — zabrzmią nam z fajerem. Odgrzewając stary kawał o tym co wojsko je, mogę powiedzieć, że wojsko je nie tylko obrońca granic, ale także znakomity mecenasem ambitnej rozrywki. Spożnij, wolno palić.

### CZWARTEK

Grecki Wóz Tespisa tłuł się po drogach z wędrownymi aktorami — dzisiejszy Wóz Tespisa wyposażony jest w konie mechaniczne i nie kieruje nim Tespis, tylko ob. dyrektor, a w ogóle to cały ensemble nazywa się „Estrada Łódzka”. Jada w Polskę z piosenką, skeczem, żartem — a potem martwią się nad sprawozdaniem i raportem kasowym. W ostatnim sezonie „Estrada” dała przeszło 2 tys. spektakli dla 700 tys. widzów, obroty

przekroczyły 13 mln zł. A jednak jest się czym martwić. Zarządzenie Ministerstwa z lipca 1967 roku „uderzające po kieszeni” organizatorów wiodni, czyli kolporterów bileto-ów, dość skutecznie utrudni-ło podróże „wozowi Estrady”. Grecki Wóz Tespisa tłuł się po drogach bez pomocy ówczesnego Ministerstwa Kultury. Było to dawno i nie wiadomo czy prawda — czy można w ogóle prowadzić tzw. działalność bez okólników i zarządzeń. Wprost nie do wiary!

### PIĄTEK

Tych dzieci dziś już nie ma. Albo umarli zamęczone w hitlerowskich obozach, albo — jeśli żyją — są już ludźmi dojrzałymi. Nie ma więc już najtragiczniejszych gefan genów ostatniej wojny — dzieci. Ale pozostała pamięć. Pamięć o obozie przy ul. Przemysłowej w Łodzi, pamięć o koszmarnym dzieciństwie za drutami łkwiawa w dzisiejszych trzydziestolatkach, nasza pamięć o martyrologii polskich dzieci. Tym dzieciom w imię tej pamięci postawimy w Łodzi pomnik. Do konkursu, który rozstrzygnięty będzie jesienią, przystąpi-ło prawie dwadzieścia zespo-łów łódzkich rzeźbiarzy i architektów. Oni stworzą artystyczną wizję, która utrwala-na w kamieniu i betonie wy-róźnie wśród murów miasta. My natomiast gromadzimy na

koncie ZBoWiD pieniądze po-trzebne na realizację tej ar-tystycznej wizji. Jest na tym koncie obecnie 350 tys. zł — zbyt mało jak na 700-tysięcz-ne miasto, bo prosty rachunek mówi, że każdy z nas dał na ten cel zaledwie 50 groszy. To prawda, że pamię-ci o bohaterskich dzieciach nie można określać w złotych-kach, ale prawda jest rów-nież, że z czczych deklaracji nie zbudujemy pomnika.

### SOBOTA

„Dzisiejsza archetypizacja Odysa dokonuje się przez od-klasyczenie, odhomeryzowa-nie postaci króla Itai”, przez ujęcie jej wyznaczone suges-tiami egzystencjalistycznego humanizmu antropocentrycz-nego...” Proszę się nie niepo-woleć — to tylko fragment z recenzji książkowej. A recen-zję przeczytałem w „Nowych Książkach”, piśmie dla ludzi zajmujących się literaturą za-wodowo, więc może tak trze-ba. Jak natomiast nie trze-ba? Tak jak w pewnej łódz-kiej gazecie? „Z kolei zain-teresowania czytelnika zaanga-żowane są zamawianiami i za-klecaniami — zamawianiami w dobrej sprawie oraz w złej sprawie. Dotyczy to zarówno przesłanek moralnych jak i praktyki znachorów”. A dalej mamy „ludowe fantazje drze-miace jako relikty”, „zabytko-wą literaturę ustną” i tym podobne celne sformułowania.

Zarówno pierwsza recenzja (dla fachowców) jak i druga (dla szerokiego kręgu czytelników) skutecznie odstraszyły mnie od obu recenzowanych książek. Ktoś mi kiedyś mó-wił, że na całym świecie zmiany językowe idą w kie-runku prostoty. — Może, ale trochę trudno w to uwie-rzyć.

### NIEDZIELA

Czy pada deszcz, czy świe-ci słońce „z piosenką jest nam wesoło...”. Rzeczywiście musiało być wesoło i przy-jemnie skoro minęło dziś 8 lat od chwili gdy spotkanie z polską piosenką zaczęły gromadzić w Łodzi co nie-dziela kilkaset osób. Na estra-dzie Spotkań zaczęli ka-rierę „Trubadurzy”, tu śpie-wały Wiesława Śnieżanka i Sława Mikołajczyk, kiedy je-szcze nosiły warkocze... Setki koncertów i biosenek, setki tysięcy słuchaczy. Startowa-no w Łodzi tą imprezą je-szcze w latach, kiedy się mó-wiło, że nasza młodzież jest głucha muzycznie. No i pro-szę. Dziś nikt już tak nie mówi. — Spotkania z piosen-ką są nadal popularne i ma-ją za sobą ładną tradycję i dorobek. A jeśli dziś nie ma już mowy o muzycznej głu-chocie młodzieży to zasługa w tym olbrzymia także Spot-kań z piosenką.

JERZY WIDOK

# ZA MILION LAT

Sniło mu się, że zamyka wejściowe drzwi z kolorowymi szybami — były tam szybki poziomkowe, cytrynowe, i zupełnie białe, jak obłoki i tuż zrozyczone jak źródło. Dwa tuziny kolorowych kwadratów otaczała wielką szybą pośrodku — purpurowe i złote jak wino, jak nalewka albo galaretka owocowa, i błękitnawe, chłodne jak bryki lodu. Pamięta, że kiedy był jeszcze małym chłopcem, ojciec brał go na ręce i mówił:

— Patrz!  
I za zielonym szkłem cały świat stał się szmaragdowy niczym mech, niczym letnia męta.  
— Popatrz!  
Szkło koloru bzu zmieniało przechodniów w grona winne wyblakłe.

I wreszcie poziomkowe okno otoczyło miasto ciepłą różową falą, a świeżo wystrzyżony trawnik wyglądał jak dywan z jakiegoś perskiego rynku. Poziomkowe szybki, najpiękniejsze ze wszystkich, przykrywały rumieńcem blade policzki, a chłodny jesienni deszcz ciepła i lutowa zawierucha wybuchała kosmykami wesołych ogników.

— Tak, tak. A tutaj...  
Przebudził się.

Obudzili go chłopcy swoja niezbyt głośna rozmowa, ale on jeszcze niezupełnie zrzucał z siebie sennosc i dlatego leżał w ciemności, nasłuchując. Jak smutno brzmią ich głosy — tak dudni wiatr, wzniesiacz piaski z dna wysychłych mórz i rozsypując je pośród niebieskich wzgórz... Potem przypomniał sobie.

Jesteśmy na Marsie.  
— Co? — krzyknęła przez sen żona.

Nawet nie zauważył, że powiedział głośno; starał się leżeć zupełnie cicho, bał się poruszyć. Ale już powracało wycieczki realizmu, a wraz z nim jakiś dziwny bezład: oto żona wstała i zaczęła chodzić po pokoju, jak widmo: to do jednego okna podejście, to znów do drugiego — a ok-

na w ich segmentowym metalowym domku niewielkie są i wysoko umieszczone — długo można przez nie patrzeć na jasne, ale obce gwiazdy.

— Carrie — wyszeptał.  
— Nie słyszała.  
— Carrie — powtórzył szepcąc — powinienem ci to powiedzieć... cały miesiąc myślałem o tym, żeby ci to powiedzieć, ale jakoś nie wychodziło. Jutro... jutro rano będzie...

— Ale żona siedziała w błękitnym blasku gwiazd niby z kamienia i nawet nie patrzyła w jego stronę.

„Oh, gdyby słońce nigdy nie zachodziło — pomyślał — gdyby nocy zupełnie nie było”. Cały dzień składał segmenty domków przysięgłej osady, chłopcy byli w szkole, a Carrie krzątała się po domu — sprzątała, prała, doglądała ogrodu... Ale po zachodzie słońca nie można było kopać wśród klombów, wbić gwóźdź i rozwiązywać zadań — a wtedy w ciemności, jak nocne ptaki leciały do nich wspomnienia.

Żona poruszyła się i przesunęła głowę.

— Bob — powiedziała wreszcie — jak chcesz do domu.

— Carrie!

— Tu nie jesteśmy w domu — odparła.

W półmroku błyszczały jej oczy pełne łez.

— Jeszcze trochę, Carrie.

— Nie mam już cierpliwości!

Jak we śnie, wyciągała szuflady szaf. Wymowała chusteczki do nosa, koszule, bieleńce i układała na stos — machinalnie, prawie nie patrząc. Ile razy już tak robiła — po prostu przyzwyczajenie. Zawsze tak mówi, a potem wyjmując rzeczy z szafy i długo stoi w milczeniu, by je po pewnym czasie ułożyć na miejscu i zamarać twarz, z suchymi oczyma, znów położyć się i myśleć, wspominać. A jeżeli nadejdzie taka noc, kiedy ona wypróżni szafę i zapakuje wszystko do walizek, które leżą ułożone pod ścianą?

— Bob... — w jej głosie nie słychać było gorczy, był on równy, cichy i wyblakły jak

światło księżyca, które pozwała śledzić jej ruchy. — Przez te pół roku już tyle razy w ciągu nocy tak mówiłam, że aż się tego wstydział. Masz ciężką pracę, budujesz nowe miasto. Kiedy mężczyzna tak ciężko pracuje, żona nie powinna denerwować go swoim płaczem. Ale przecież muszę się tego pozbyć, muszę się przed kimś wyzalić. Najbardziej stęskniłam się za drobiazgami. Pamiętasz hamak co był na naszej werandzie? I fotel na bieżniach. W domu, w Ohio; letnim wieczorem siadywałam tam i patrzyłam kto przed naszym domem przechodzi, i nasze rozstrojone pianino, i szwedzkie szkło. I meble w pokoju gościnnym. Tak, to prawda, te meble są stare, ciężkie, ja wiem o tym... A latem posiedzieć można na werandzie i pogadać z sąsiadami. Wszystko to są głupstwa, rzeczy mało ważne. Ale nie wiem dlaczego, gdy obudzę się o trzeciej w nocy — nie mogę się uspokoić. Przepraszam, że ci to mówię.

— To nie twoja wina — powiedział. — Mars jest obcym miejscem. Tutaj wszystko jest inaczej, inny jest zapach, kraj obraz. I w dotyku wszystko jest inne. Sam o tym myślę po nocach. A przecież piękne było nasze miasteczko.

— Wiosną i latem całe w zieleni — dodala żona. — A jesienią wszystko czerwone i żółte. I dom mieliśmy piękny. A jaki stary! Z osiemdziesiąt albo i dziewięćdziesiąt lat — miał chyba... Nocami czasem nasłuchiwałam jak on skrzypi, trzeszczy, jakby rozmawiał. Drzewo suchutkie — i poręcze, i weranda, i schodki. Jak tylko dotknie — od razu się odezwie. Każdy pokój był inny. A kiedy dom tak rozmawia — sprawia wrażenie rodziny, która zebrała się wokół śpiącego i stara się go ukoić — zaśnij, szepcze, śpij. Takich domów teraz nie budują. Bo w domu musi mieszkać wielu ludzi — ojciec wie, dziadkowie, wnuki, a z tego z upływem lat stanie się on przytulny. A to nasze pudełko — ono nawet nie wie, że ja tu jestem, jest mu wszystko jedno, czy żyje, czy już umarłam. I głos ma blaszany, a blacha jest — zimna. Nie jest porowata, nie wysysa nimi lat. Nie ma piwnicy i zapasów na zimę na przyszły rok nie ma gdzie składować. I strychu nie ma, starych rupiec nie ma gdzie położyć, które zostały z ubiegłego roku, a nawet z tego okresu, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie. Wiesz, Bob, gdyby u nas chociaż trochę było różnych takich staroci, wówczas na nowym miejscu łatwiej byłoby żyć i łatwiej można by się przyzwyczaić. A gdy wszystko nowe, trudno jest przywyknąć.

Skinął głową w ciemności.  
— Ja także o tym myślałem. Patrzyła w tę stronę, gdzie na walizkach pod ścianą błyszczały smugi księżyca. I wyciągnęła rękę.

— Carrie!  
— Co?  
Szybko siadł i opuścił nogi na podłogę.

— Carrie, popełniłem jedno wielkie głupstwo. Teraz przez wszystkie miesiące podczas nocy słucham jak ty tęsknisz do naszego domu, i chłopcy też się budzą i szepczą, i wiatr gwizda, i za ścianą — Mars, te morza wyschnięte... i... — mężczyzna zamilkł nagle, z wysiłkiem przełknął ślinę. — Powinnaś zrozumieć, że ja zrobiłem i dlatego. Miesiące temu mieliśmy pewną sumę zaoszczędzonych pieniędzy z ostatnich dziesięciu lat, a ja je wszystkie straciłem.

— Bob!  
— Wyrzuciłem je, Carrie, da je słowo, wypuściłem na wiatr. Myślałem, że w ten sposób wszystkich uczeszę, a teraz ty mi to mówisz i te przekleste walizki stoją...

— Jakże tak, Bob? — żona zwróciła się do niego twarzą.  
— Siedzieliśmy tutaj na Marsie, mężczyźni się, każdy grosz odkładaliśmy, a ty wszystko od razu straciłeś?

— Sam nie wiem, może ja po prostu zwarłowałem... Słuchaj, do jutra już niedaleko. Wstaniemy wcześniej. Pójdiesz ze mną i sama zobaczysz, co ja zrobiłem. Nie będę mówił — sama zobaczysz. A jeśli i to cię nie przekonano, przecież wiesz, że rakiety odchodzą na Ziemię cztery razy w tygodniu. Walizki masz pod ręką... Pamiętam, kiedy byłem małym chłopcem, zepsuł nam się siewnik, a na reperację nie mieliśmy pieniędzy, i wtedy wyszliśmy z ojcem w pole i rzuciliśmy ziarna w głęboką próżnię, bo przecież trzeba było siać, w przeciwnym wypadku nie byłoby czego żąć. O Boże, Carrie, tylko przypominaj sobie, jak pisano wówczas w gazetach: ZA MILION LAT ZIEMIA PRZEJMIENI SIĘ W ŁÓD! Czytały te artykuły płakałem jak małe dziecko, chociaż byłem już dość dużym chłopcem. Matka pyta — czego płaczesz? A ja odpowiadam — żal mi tych wszystkich, którzy wówczas będą żyli na świecie. A matka na to — ty się o nich nie martw. Dlatego, Carrie, powiadam: w rzeczy samej właśnie o tych ludzi teraz się martwię. W przeciwnym wypadku byśmy tutaj nie przylecieli. Bo najważniejsze jest żeby CZŁOWIEK żył i żył... Przynajmniej dla mnie jest właśnie to najważniejsze i wydaje mi się, że jest tylko jeden sposób, aby uzyskać wymarzone przez ludzkosc nieśmiertelność: zasiać wszędzie. Wtedy jeśli gdziekolwiek przydarzy się posucha, albo jakaś inna klęska żywiołu — mimo wszystko nie będziemy bez chleba. Jeśli Ziemia przemieni się w łód — na Wenus przeniesie się kwitnienie, albo na inną planetę, na którą polecą ludzie za tysiąc lat. Słowo daje, Carrie, oszalałem na tym punkcie. Opanowałem mnie to jak oraczką, chciałem wte dy o tym wszystkim opowie-

dzie, ale potem pomyślałem: do diabła z tym, nikomu to nie jest potrzebne, przynajmniej teraz, może kiedyś nadejdzie taki dzień i wtedy sami ustyszycie, jak to w was się porusza niczym jakiś mechanizm ukryty i wówczas sami zrozumiecie wszystko i nie trzeba będzie nikomu tego tłumaczyć ani o tym opowiadać.

Carrie nie poruszyła się.  
— Bob, Bob — szepiała.  
— Nie mów teraz, nie trzeba — prosił.

— Bob, Bob...  
Poruszyła wolno głowę, w dalszym ciągu nie wierzyla w to, co się stało. Odwróciła się od niej, a ona usiadła na łóżku i patrzyła w tę stronę, gdzie na komodzie równiutko poukładane leżały stopy bieleńcy, chusteczki do nosa i jej biżuteria. A za ścianami wiatr przebiły księżycowym światłem wzniesiał uspiiony kurz i rozwieszał go w powietrzu. Wreszcie Carrie położyła się, ale nie powiedziała ani słowa — leżała jak nieżywa i nieruchomymi oczyma patrzyła w noc niczym w niezwykle długi tunel: czy naprawdę tam na samym końcu nigdy nie zadzwoni świat?

Słońce uniosło się wysoko i przyszywało, kiedy wyjechał z miasta wypożyczonym samochodem ciężarowym, który był załadowany kosmami, skrzynkami, walizkami i tłumokami — długimi i płaskimi, szerokimi i niskimi; każda sztuka miała swój numer i na każdym takim pakunku czy skrzynce było napisane: Mars, New Toledo, Robert Prentis.

Samochód zatrzymał się przed małym składanym domkiem i chłopcy zeskokczyli na dół i pomogli matce wysiąść. Bob jeszcze chwilę siedział przy kierownicy, po czym wolno wysiadł, obszedł samochód dookoła i zajrzał do wnetrz.

Około południa wszystkie skrzynie, oprócz jednej, były rozpakowane, rzeczy leżały na dnie wyschniętego morza, a cała rodzina stała i spoglądała na nie.

— Chodź tutaj, Carrie...  
Podprowadził żonę do starego drewnianego ganku, który leżał z samego brzegu wielkiej ilości rozpakowanych przedmiotów.

— Postuchaj tylko...  
Drewniane stopnie zaskrzypiały, przemówiły pod naciskiem ludzkich nóg.

— Słyszysz, co ona mówi? Carrie stała na starym gancezku skupiona, zamysłona i nie mogła wymówić ani słowa.

Zatoczył ręką łuk:  
— Tutaj — ganek, tam — pokój gościnny, jadalnia, kuchnia, trzy sypialnie. Część wybudujemy od nowa, a część przybudujemy z Ziemi. Na razie, naturalnie, mamy jedynie główne wejście i trochę mebli do pokoju gościnnego oraz stare łóżko.

— Wszystkie nasze pieniądze, Bob!

Z uśmiechem popatrzył na nią.  
— Przecież się nie gniewasz, prawda? No, popatrz na mnie! Oczywiście, że się nie gniewasz. Za rok albo za pięć lat wszystko przewieziemy tutaj. I wazy, i armeński dywan, który nam twoja mama podarowała w sześćdziesiątym pierwszym roku. I tedy niech sobie Słońce wybuchnie, niech Ziemia lodowacieje!

Podeszli do innej grupy skrzyń, czytając numery i napisy: fotel na bieżniach z werandy, chińska zastona...

Postawili na ganku drzwi z różnokolorowymi szybami i Carrie spojrzęła w poziomkowe okienko.

— Co widzisz?  
Spytał tak, ale sam również wiedział co ona tam widzi, on także patrzył w to okienko. Oto Mars, zimne niebo o cieplem słońcu, martwe morza zaparowały, a wzgórze jak grudy poziomkowych lodów, i wiatr przesypuje piaski niby dopalające się węgle. Poziomkowe okienko, to ono przykryło wszystko dookoła żywym de likatnym rumieńcem, napoiło oczy i duszę światłem nigdy nie ginącej zorzy. I pochylając się nad tym kawałkiem kolorowego szkła, patrząc przez nie, Robert Prentis nieoczekiwanie powiedział:

— Za rok będzie tu miasto. Będzie cieniasta ulica, a na twoją werandę przyjdą znajomi i przyjaciele. Wówczas nie odczujesz tak wielkiej potrzeby i chęci przyzwyczajania w pobliżu tych przedmiotów. Ale niebawem sama nie poznasz tego Marsa. Tak się tu wszystko zmieni.

Zbiegł z ganku i podszedł do ostatniej nie otwartej jeszcze skrzyni, owiniętej w żółtą głowę płótno. Rozciął to płótno szczyrykiem.

— Zgadnij co to jest? — powiedział.

— Mój piec kuchenny?

— Nie podobano! — uśmiechnął się łagodnie. — Zaspiewaj mi piosenkę — poprosił.

— Czyś ty oszalał, Bob?

— Zaspiewaj mi taką piosenkę, żeby warta była wszystkich pieniędzy, które wyrzucili na wiatr, a których mi wcale nie żal!

— Znam tylko jedną: „Jeannie, Jeannie, serduszek moje...”

— No to zaspiewaj.

— Ale ona nie mogła tego zaspiewać, tylko bezdźwięcznie poruszała ustami.

Bob ściągnął płótno, włożył rękę do środka, milcząc poruszał tam dłońmi i zaczął podśpiewywać półgłosem; wreszcie odnalazł to, czego szukał — i w porannej ciszy zadźwięczał czysty akord fortepianu.

— No — powiedział — a teraz zaspiewajmy tę piosenkę, wszyscy!

Tłumaczył:  
ROMAN GORZELSKI



## Lewym okiem

### CZY NALEŻY SKAKAĆ WYŻEJ NIŻ SUFIT?

Ciotka podróżowała rzadko, raz na parę lat. Nawet tramwaj był już dla niej zapowiedzią dalszej wyprawy, wymagającej czasu i godnej tego, aby ten czas kosztem innych zajęć się znalazł. Nie rozumiała absolutnie, że ktoś biegnie do przystanku lub podenerwowany — śpieszy się na stację. Nie mogła sobie wyobrazić spóźnienia. — Jak masz się spóźnić minutę, to lepiej idź o dwie godziny za wcześniej — mawiała filozoficznie.

Ciotka jednak miała dużo czasu i dwie godziny czekania na stacji, zwłaszcza w wielomiesięcznych odstępach, nie stanowiło żadnego problemu. Takich czasowych ciutek coraz mniej widzimy w dzisiejszym świecie.

Powiedzmy jednak, że kogoś stać na czekaniu i że — generalnie biorąc — dla terminowego załatwienia jakiegokolwiek sprawy przystępuje do niej z wielkim, nadmiernym, dużo większym niż przeciętne wyprzedzeniem. Jemu to nic nie szkodzi. Ale — czy tego typu nadgorliwość czy też superostrożność jest zjawiskiem społecznie korzystnym?

Długo koleżki ludzi czekających cierpliwie przed kasą po bilet na pociąg, który odchodzi za pięć godzin, uniemożliwiają nabyć biletu temu, kto musi jechać za kwadrans. Tłumy nierobów, czekających z nadmiarem ostrożności godzinami w różnych przedpokojach, nie tylko zmuszają ludzi bardziej zajętych do takiego samego marnotrawienia czasu po tychże przedpokojach, ale jednocześnie demoralizują urzędników, którzy przeją się przejmować; poczucie ważności niejednego wzrasta przy tym dość patologicznie — no bo jeśli aż takiego czekania warta jest jego urzędnicza usługa?

Podobno w klinikach położniczych Anglii panuje taki łożek, że kobiety muszą zamawiać sobie miejsca na jedenaste miesiące przed spodziewanym przyjściem na świat dziecka. Nie wiem, w oparciu o jakie przesłanki przewiduje się w Anglii termin narodzin; omówiony przykład jest w każdym razie rzeczywiste przykładem klinicznym na absurdalność zbyt wielkich wyprzedzeń w terminowych przedsięwzięciach.

A teraz przetransponujmy to wszystko na teren działalności administracyjnej, gospodarczej, biurokratycznej. Każda instytucja ma tysiące zobowiązań wobec innych instytucji, z czego szczególną kategorię stanowią zobowiązania na rzecz instytucji nadrzędnych. Chodzi o takie sprawy jak terminowe składanie sprawozdań, meldunków, bilansów, korespondencji. Obowiązujące w tych sprawach terminy wynikają zawsze z dzie-

siatków innych terminów, wszystko razem powiązane jest w misterny spłót wzajemnych zależności, następstw, wynikania. Należy więc zorganizowana praca w instytucji polega właśnie na tym, żeby rozłożyć zajęcia tak, aby każde zobowiązanie mogło być wykonane w terminie. Już takie zorganizowanie pracy jest ogromną pracą. Właściwe ustawienie harmonogramu czynności przesądza w dużym stopniu o możliwości ich wykonania, a nawet o ich skuteczności i daleko sięgających efektach.

Powiedzmy, że ten organizacyjny etap został załatwiony na medal. Aż tu — jakże często — dzwoni instytucja nadrzędna, że zestawienie, które powinno być gotowe na koniec lipca, musi być doręczone w połowie lipca. Musi być — i koniec dyskusji. Sprawozdanie za pierwsze półrocze musi być gotowe dwudziestego czerwca, zanim półrocze się skończy. Rozliczenie jakiejś „zaszłości” wcześniej, niż w ogóle coś się zaczęło dziać. Plan o miesiąc wcześniej, bo to, bo tamto, sprawozdanie o tydzień wcześniej, bo tamto i owo. Albo w ogóle bez żadnego „bo”, tylko ma być i już.

Urzednicy rzucają się hurmem na doraźne, nieoczekiwane polecenie. Cały harmonogram psu na bóg. Jak się jedno przyspiesza, to drugie opóźnia. Co zostaje? Wciąż gaszenie pożaru, zniecierliwa, nieprzywiązywanie wagi do żadnych terminów oficjalnych; ważne są tylko te najnowsze, telefoniczne, na wczoraj i na dziś.

Gdybyśmy na fali tylorakich eksperymentów spróbowali w jednym pionie popracować przez jeden miesiąc od góry do dołu w zgodzie z ustalonymi generalnymi zasadami, w ustalonych terminach, bez żadnego skoków wyżej sufitu! Może punktualność ujawniłaby się jako całkiem konkretna kategoria ekonomiczna?

CWIEK